Nr. 16. Lwów, 15. sierpnia 1902. Rok XXV.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Epidemia wścieklizny u lisa i borsuka,

występująca w Galicyi w latach 1900 i 1901.

Napisał Dr. Tadeusz Gabryszewski.

(Ciąg dalszy).

69. W styczniu przyniósł gajowy chorego lisa, który chodzić już nie mógł i którego dobito.

Dwa ostatnie wypadki świadczą, że osobniki chore, były już w ostatnim okresie wścieklizny, kiedy występują już objawy porażenne.

70. W styczniu znaleziono na polowaniu psa nieżywego.

71. W marcu znalazł p. Weissman szczątki lisa koło jam.

72. 15. marca przybiegł lis przed dwór w Starzyskach, gdzie była większa ilość pracujących ludzi. Psy legawe puściły się za nim i zadusiły. Przy tej sposobności psy odniosły obrażenia — rany te wymyto wodą karbolową — niestety nie wiem, co się z nimi dalej stało.

P. Weissman ogłaszając te wypadki pisze, że w najbliższem sąsiedztwie np. we Wiszeńce u śp. Stanka nie zauważono wypadku choroby lub śmierci wśród lisów.

73. W kwietniu u Andrucha Załężnego, sąsiada leśnictwa w Starem Siole, spędzano ciągle lisa z przed domu, a on uporczywie i zuchwale ciągle pod dom się posuwał. Co się z nim stało niewiadomo.

74. Z wiosną dostał p. A. Madeyski, zarządca rewiru „Podciemne", młodego psa, który pewnej nocy gryzł się i szamotał z jakiemś zwierzęciem, którego jednak wśród ciemnej nocy nie można było rozpoznać. W kilka tygodni pies zesmutniał, stracił apetyt i zabrał się precz z domu. Ubito go w Romanowie jako dotkniętego wścieklizną.

75. W początku maja skoczył borsuk na idącego

przez las w Strzałkach dozorcę lasowego Tomasza Zawadę i kiedy ten uderzył go pałką, którą niósł w ręce, borsuk chwycił ją tak silnie zębami, że z trudem tylko zdołał ją wyrwać i zręcznem uderzeniem w nos borsuka ubił. Był to okaz bardzo nędzny i schorowany (Ożarowski).

76. W połowie maja spostrzegł maszynista od wodociągu kolejowego w Starem siole, lisa wałęsającego się po szynach przed stacyą. Zbliżając się do niego zauważył, że lis nie okazuje wcale ochoty do ucieczki, dopiero gdy lis do niego przyszedł, wsunął się między progi kolejowe, skąd go za kitę wyciągnięto i kijem dobito. Był bardzo wynędzniały i zszargany (Beer.)

77. Tu przytoczyć muszę wypadek w Staremsiole, który daje wiele do myślenia i czyni bardzo prawdopodobnem przypuszczenie, że nie z czem innem, tylko z wścieklizną mamy do czynienia. Przedstawiam go wedle opisu p. Beera nadleśniczego w Staremsiole. „W miesiącu kwietniu 1901 wybiegł rudel sarn z lasu na pole, a za nim biegł rogacz, wydając z siebie niezwykły ryk, do tego stopnia, że ludzie będący wówczas w polach z przerażeniem go słuchali. Po długiem pędzeniu i rzucaniu się, rogacz wśród ciągłego wydawania niezwykłych głosów, skoczył przez rów i padł nieżywy. Był mocno wynędzniały“.

78. Na pastwisku położonem pod lasem do Gołogór (pw. Złoczów) należącem, pasło w końcu maja dwóch chłopaków trzodę. Koło godziny 10-tej rano wyszedł z lasu borsuk i zaczął pędzić za owcami. Chłopcy skoczyli owcom na ratunek i zaczęli borsuka odganiać, ale ten zamiast uciekać, natarł gwałtownie na nich i skaleczywszy jednego z nich Michała Dubasa w łydkę, nagle zwrócił się na brata tegoż Iwana i uchwyciwszy go za piętę, dostał w tej chwili tężca i odczepić się już nie mógł. Chłopiec jęcząc wzywał pomocy, którą mu dali wreszcie nadbiegli chłopi. Nie mogąc zębów bocznych rozważyć, siekierą go dobili i dopiero w ten sposób potrafili go oswobodzić od straszliwej paszczy wściekłego zwierzęcia. Chłopców zaraz wysłano do Krakowa, skąd po kilkunastu dniach wrócili, ale rana na pięcie do dziś dnia tj. po 9-ciu miesiącach nie zgoiła się jeszcze. (T. Dzięciołowski).

79. 1-go czerwca Michał Palij, syn strażnika drogowego z Krasowa, pow. Lwów, został silnie pokaleczony przez borsuka po całem ciele. Był również leczony w zakładzie ochronnym w Krakowie. (Zakład prof. Bujwida).

80. W czerwcu zjawił się na folwarku w Gołogórach na oborze lis i czaił się do kaczek. Spostrzegłszy go, zwołano czeladź, która obstąpiła go ze wszystkich stron, na co lis wcale nie zwracając uwagi, skoczył na kaczkę i wraz z nią przypierany coraz bardziej przez ludzi, wpadł do stajni, rzucił kaczkę do żłobu, a sam nie broniąc się wcale pod kijami zginął. Oględziny wykazały, że był to osobnik wyschnięty jak trzaska. (T. Dzięciołowski).

81. W Lubeszce w połowie lipca wypadł borsuk na bydło Mechla Herbsta, pasące się w lesie i pokaleczył jedną czy dwie sztuki. Zabito go. Był bardzo wychudzony, zresztą nie okazywał objawów chorobowych. Ze skaleczonych zwierząt żadne nie zapadło. (Pauli).

82. W tymże czasie w Stokach udał się do lasu wczesnym rankiem chłop, jak należy przypuszczać, nie na spacer; w czasie tej wycieczki wyskakuje do niego z zarośli lis z głośnem prychaniem. Chłop jak najprędzej gramoli się na grab — a lis czeka pod drzewem tak długo, aż nadjechały fury i lisa spędziły.

83. W lipcu gnał pastuch w Romanowie bydło na górę Łysą. Gdy bydło nieco odeszło, wyszedł z krzaków lis i zbliżył się do pastucha, który zrazu bronił się cienką laseczką, a kiedy lis coraz gwałtowniej mimo bicia go nacierał, zestraszony chłopiec powierzył swój ratunek nogom i począł się drapać na stromy brzeg urwiska, z tyłu ciągle podpędzany przez goniącego go uparcie lisa. Na szczęście chłopca nadjechała fura, a woźnica lisa odpędził.

84. P. Adam Madeyski w Podciemnem, wracając już późną jesienią podczas ciemnego wieczoru z latarką acetylenową, gdy wszedł na dziedziniec i zaczął go oświecać spostrzegł lisa, który szedł popod stajnię ku psiej budzie. W tej samej chwili dojrzał go i pies łańcuchowy w budzie leżący, wyskoczył z niej i raz i drugi z nim się ściął, poczem pies powrócił do p. Madeyskiego, a lis drugą bramą z podwórza uciekł.

Po paru tygodniach pies stracił humor, jeść nie chciał, rzucił się na jamnika domowego, udusił kota dotychczasowego przyjaciela, w ogóle zachowywał się tak, że p. Madeyski kazał go zastrzelić.

Pokąsany jamnik zabrał się też po jakimś czasie precz z domu — i przepadł bez wieści.

85. i 86. W Gołogórach zabito wśród budynków gospodarskich na trzech obejściach włościańskich różnymi czasy w porze zimowej 3 lisy, że zaś zima była mało śnieżna, prawie całkiem nie mroźna, a więc głodu, tego jedynego mocarza odbierającego zwierzęciu dzikiemu jego charakter — nie było — musimy przypuścić, że i one nie były zdrowymi. Inaczejby lis nie dał się podejść na odległość ręki. (T. Dzięciołowski).

87. W gminie Ścianka pod Gołogórami, w styczniu 1902 wlazł lis do psiej budy i razem z jej prawowiernym lokatorem całą noc przesiedział. Gdy to rano zobaczono, ubito lisa, który przy tej sposobności podrapał rękę chłopcu i pokąsał psa. Chłop — pisze p. Dzięciołowski — zdrów dotąd, ale pies, którego kazałem zostawić na obserwacyi, po paru tygodniach zdechł.

88. Wreszcie jak mi podają łaskawie z zakładu prof. Bujwida, zgłosili się tam w tym już roku do szczepienia Krajewski strażnik skarbowy, pokąsany przez oswojonego lisa w Podwołoczyskach.

89. Marya Smolińska służąca, pokąsana przez borsuka, który wypadł na nią z lasu, gdy spędzała bydło.

Więcej wypadków nie zdołałem zgromadzić, choć jestem pewny, że zostało ich niewykrytych, to znaczy nie zapisanych — nie mało. Ale, mimo, żem rozpisał listy i kwestyonaryusze, mimo że Redakcya *„Łowca“* rozumiejąc doniosłość rzeczy, poparła ze swej strony gorąco moje usiłowania, wszystko na nic się nie zdało. Z wyjątkiem moich osobistych znajomych, którzy mi w badaniach pomoc nieśli, dając fakta, bądź bezpośrednio przez nich obserwowane, bądź znowu od podwładnych im ludzi (ze straży leśnej lub dworskiej) wreszcie z najbliższego sąsiedztwa — ani jeden głos nie podniósł się więcej. Pp. Korwin i Weissmann sami

ogłosili w „*Łowcu*“ swoje spostrzeżenia, które do ogólnej liczby dołączyłem. Zresztą słowiańska przysłowiowa apatya, okazała się i tu jak i zawsze w całej pełni. A szkoda!

W przeciągu tego czasu urzędowa statystyka również coś niecoś zapisała. Notuję to, co weterynarz powiatowy w Bóbrce p. Władysław Rudnicki stwierdził i mnie łaskawie udzielił.

Rok 1900.

1. 14-go kwietnia zabito w Bryńcach cerkiewnych (sąsiedztwo Suchodołu), psa nieznanego pochodzenia.

2. 9 czerwca zabito nieznanego psa w Rożnowie (przytykającym do Bryniec).

3. 9 czerwca zabito w Wybranówce, leżącej między Bryńcami a Suchodołem, 1 lisa i 1 psa.

4. 17 lipca w Podmonasterzu (sąsiedztwo Suchodołu), zabito 3 psy.

5. 30 lipca w Dźwinogrodzie, p. Rudnicki obserwuje cielę uległe wściekliźnie.

6. 29 listopada w Staremsiole, 2 psy.

7. 6 lutego 1901 w Repechowie, 1 lis.

8. 4 marca w Łopusznej pokąsał pies 7-letnią Annę Hawryliszyn; istotę choroby stwiedziło szczepienie dyagnostyczne ck. Akademii weterynaryi we Lwowie. Pokąsana odbyła leczenie w Zakładzie krakowskim.

9. 5 marca, 2 lisy w Szołomyi.

10. 13 marca, 1 pies w Chodorowie.

11. 15 marca, 1 pies w Suchodole.

12. 16 „ 1 lis w Wodnikach.

13. 20 „ 1 pies w Dziesiętnikach.

14. 21 „ 1 pies w Sarnikach.

15. 23 „ 1 lis w Sarnikach, (który pokąsał Kimiaka, przyp. 61).

16. 23 marca, 1 pies obcy w Lubeszce.

17. 7 maja, 1 pies w Strzeliskach Nowych.

18. 28 maja, 1 kot obcy w Łopusznej, który pokąsał Różkę Mańczuk, która następnie przebyła leczenie w Krakowie.

19. 30 maja, 1 pies obcy w Oryszkowcach.

20. 18 lipca w Czyżycach borsuk pokąsał Marynę Kurtyna.

Z przytoczonych tu gmin starostwo w Bórbce otrzymało doniesienia. C. k. weterynarz powiatowy wszystkie wypadki sprawdzał i bądź na mocy wyniku sekcyjnego z wywiadami, bądź na mocy szczepienia rozpoznawczego wściekliznę udowadniano.

Jeżeli rozglądniemy się w przytoczonych przypadkach, uderzy nas przedewszystkiem fakt, że wścieklizna wbrew ogólnemu zapatrywaniu nie występowała tylko w ciągu miesięcy ciepłych tj. w lecie. Owszem rok 1900 notuje pierwsze wypadki tejże w marcu i kwietniu tj. w miesiącach w ogóle u nas, a w tym roku bardziej niż kiedykolwiek zimnych — trwanie jej w równem nasileniu przez lato, wzmaganie się stopniowe w czasie chłodnych miesięcy jesieni i wprost mroźnych zimy.

Podobnież początek roku 1901 wykazuje pojedyncze wypadki w styczniu i lutym, w ciągu których jest ich mniej, natomiast dojście epizoozyi do szczytu w marcu, powolne upadanie jej w miesiącach wiosennych i stopniowe wygasanie w czasie miesięcy letnich i jesiennych, zanim w zimowych zupełnie nie znikła.

Marzec roku 1901 jest punktem kulminacyjnym całej epidemii. Notuję w tym miesiącu przypadki: 59, 60, 61, 62, 63, 71, 72. Statystyka urzędowa: 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, a więc 16 wypadków, co na ogólną sumę daje 16·5%.

Sądzę, że zupełnie będę bliskim prawdy tłómacząc fakt ten sprawą *cieczki*. Ma ona miejsce u lisa w miesiącu lutym — odbywa się w jamach, gdzie niekiedy po kilka lisów równocześnie z jedną suką przebywa. Bez pokazywania sobie zębów, a nawet wzajemnego kaleczenia się, pewno się nie obchodzi. Pomiędzy odprawiającymi gody weselne, nie spotkamy bez kwestyi, osobników ciężko już chorych. Takie giną w samotności, gdzieś po gąszczach lub jeśli dotknięte są formą szaloną, pędzą po świecie. Natomiast chorobą dotknięte już osobniki, ale dopiero w początkach tejże — bardzo pewnie jeszcze palą pochodnią Hymenu, a może i jeszcze zażartsze są na współzalotników i gryzą się z nimi. W marcu całe towarzystwo z jam rozchodzi się w świat niosąc zarazę, która ranami się udzieliła — dalej. Dlatego w marcu tyle przypadków spotykamy.

Dalej widzimy, że przeważna część dotkniętych wścieklizną lisów zachowywała się gwałtownie. Występowały wśród nich objawy: niepokoju, szalenia, popęd do gryzienia przedmiotów, do chwytania i połykania ziemi, mchu czy liści, a przedewszystkiem własnej sierci, popęd do kąsania i kaleczenia, chęć rzucania się na psy, zwierzęta domowe i ludzi, a więc okazywała tz. wściekłość szaloną. To są te lisy, które widzieliśmy wpadające na obejście ludzkie, napadające w dzień biały na psy łańcuchowe, wszystkie możliwe zwierzęta, ptactwo swojskie, prześladujące idących lub nawet jadących ludzi. Prawie żaden z tych lisów nie uchodzi śmierci z ręki ludzkiej. Należą tu osobniki opisane pod 1, 5, 6, 12, 13, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 27, 30, 31, 32, 33, 39, 40, 41, 44, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57, 59, 61, 62, 67, 79, 81, 82, 83, 84, 87, 88, tj. razem 39 lisów.

Mniejszość przypadków okazuje raczej zobojętnienie, ogólne osłabienie, lub niemoc ustrojową, przytępienie wszystkich władz czyli wściekliznę spokojną. Ta kategorya nie ucieka przed zbliżającymi się ludźmi, czy innymi wrogami, ale też nie rzuca się na nich, nie stara nawet bronić, tylko spokojnie oczekuje swego losu, zatraciwszy zupełnie właściwości lisiego charakteru. W miejsce bystrości i chytrości występuje zatumanienie i apatya. Tu zaliczam przypadki: 8, 11, 14, 23, 24, 25, 28, 35, 37, 42, 43, 46, 47, 48, 49, 58, 60, 64, 69, 76, 79, tj. 21 lisów.

Wszystkie obserwowane borsuki były dotknięte formą pierwszą tj. wścieklizną szaloną Przyp.: 7, 9, 22, 36, 75, 78, 79, 81. 89, i 20 kazuistyki rządowej razem 10 borsuków.

Obliczywszy procentowo wypada:

1) wścieklizny szalonej u lisów . . . 49%
2) „ spokojnej u lisów 23%
3) reszta nie da się podszeregować ani tu, ani tam.
4) wścieklizny szalonej u borsuków . . 100%

C. d. n.



Z etyki łowieckiej.

Ostatnimi dniami przeglądałem dwa roczniki niemieckiego pisma łowieckiego „*Wild und Hund*“. O ile odłożywszy szowinizm narodowy, przyznać musimy niestety, że tak jak na wielu innych polach, tak też i w dziedzinie łowiectwa, wyprzedzili nas Niemcy, traktując je jako osobną sztukę i umiejętność, a nie po dyletancku; o tyle przyznać się muszę z przyjemnością, przychwyciłem niemieckich nimrodów na pewnych usterkach, które z etyką łowiecką w niemałej stoją sprzeczności.

Bez końca, aż do znudzenia, powtarzają się w łamach „*Wild und Hund*“ relacye z podjazdów i podchodnego na rogacze. Relacye te są tak pedantyczne, że przy każdym prawie rogaczu, podane są najdrobniejsze szczegóły, jak ten rogacz stał, na jaką odległość, w jakiem oświetleniu, jak się zachowywał przed i po strzale, jakim pociskiem i gdzie został ugodzony, jakie skutki wywołała kula i t. d., i t. d. Zapewne, że te szczegóły mają wartość, tak dla monografii zwierza, jakoteż dla ocenienia broni i pocisku, jakiemi zwierz został ubitym. Lecz gdy się przeczyta trzysta takich faktów, to ma się wrażenie, że nie czyta się opisu łowieckiego, lecz sprawozdanie kliniczne. Nie o to mi jednak chodzi. Dokładność „Die deutsche Genauigkeit“ jest niemiecką cnotą, tak samo jak „die deutsche Reinlichkeit, Keuschheit“, i wszystkie inne zalety, które Niemcy jako swój wyłączny monopol uważają. Nie czynię więc Niemcom wyrzutu za tę oszałamiającą czytelnika dokładność; lecz gdy w opisach podjazdów, po przeczytaniu zachwytów autora, nad uroczą okolicą, nad szumem alpejskich potoków i lasów, po okrzykach uwielbienia dla łowiectwa i wszystkich bóstw niem się opiekujących, napotykam w końcu wzmiankę mniej więcej tej treści. „Niestety kula tak spustoszyłą cąber, lub pieczeń rogacza, że ten stracił połowę lub $^1/_3$ wartości (bo i tu dokładność w obliczeniu), a skóra była zupełnie zniszczoną“. To przyznaję się, że mam wrażenie że okrzyk ten, wydarł się nie z łowieckiej piersi, lecz z głębi serca jakiegoś kucharza lub handlarza zwierzyną. Takich westchnień nad zniszczoną pieczenią, bez końca spotkać można „w Wild und Hund“.

Chwała Bogu; w naszych łowieckich szeregach nie spotkałem jeszcze myśliwego, któryby strzelając do kozła lub innego zwierza, myślał w chwili strzału o handlowej wartości swojej zdobyczy, lub też dzielił się z szerokiemi kołami czytelników swoim smutkiem nad utratą kilku szóstek, na jaką go nieszczęśliwie umieszczona kula naraziła.

Kto w rogaczu lub zającu, widzi tylko guldena lub piątkę, umykającą na czterech skokach lub badylach i stara się tak strzelić, ażeby tę piątkę jak najmniej uszkodzić, to niechże nie zalicza się do wyznawców św. Huberta i niech nam oszczędzi swoich zachwytów nad łowiectwem i naturą. Zapewne, że polowanie na „piątki“ jest jednem z najtrudniejszych na świecie i mało znam ludzi, szczególniej między myśliwymi, którzyby w tym kierunku obfitym rozkładem pochlubić się mogli. Znajdziemy ich chyba, gdy pójdziemy za dowcipnym wierszem hr. Leopolda Starzeńskiego:

„Ale najlepsi łowcy w tym kraju,
„Są ci, co noszą chałaty,
„Bo chłop i szlachcic, zdawna w zwyczaju,
„To dla nich połów bogaty“.

Tam to rzeczywiście, kwitnie skuteczne polowanie na piątki, lecz lepiej nie patrzmy w tę stronę, my co widzimy w rogaczu rogacza, a nie piątkę, chowamy go, strzelamy oszczędnie i cieszymy się parą zdobytych rożków, więcej niż cąbrem lub pieczenią.

Podchodne i podjazd, to bez kwestyi najpiękniejszy i najszlachetniejszy sposób wykonywania polowania. Polują też tak i Niemcy. Mają jelenie, kozły, kozice, więc mają na co polować, a jak polują to dosyć roztworzyć „Wild und Hund“, ażeby się dowiedzieć. P. X. ma naprzykład rewir z bardzo pięknym stanem kozłów lub jeleni. P. X. jest człowiekiem niezależnym, nikogo nie potrzebuje, poluje więc sam u siebie, nikogo nie prosi i wszystkie preliminowane jelenie i kozły sam wybija. Winszuję mu przyjemności. P. Y. takżeby tak postąpił ale ma sąsiada lub krewnego, którego pominąć nie może, prosi go więc na późniejszy termin a sam z rozpoczęciem podjazdów wybija grubsze sztuki, zostawiając dla kochanego kuzyna lub sąsiada sam drobiazg. A jeżeli przypadkiem błąka się jeszcze w rewirze jaki kapitalny rogacz, to straż leśna ma stosowną instrukcyę, ażeby w żaden sposób przybyłego gościa, do strzału do takiej sztuki nie dopuściła.

Wszystko to można wyczytać czarno na białem w „Wild und Hund“ a dzieje się to w myśl jednej z niemieckich cnót, która się nazywa „Die deutsche Gastfreundlichkeit“. U nas ta cnota nie jest jeszcze chwała Bogu rozpowszechnioną, my dotąd chowamy jeszcze antiquo more nasze kozły, jelenie i dziki dla przyjaciół i sąsiadów, a jeżeli trafiają się gdzieniegdzie wyjątki uprawiające niemiecką gościnność w polskiej kniei, to żal mi ich bardzo, bo taki łakomiec na własną zwierzynę nie doświadczy nigdy tej wielkiej przyjemności, jaką sprawia każdemu prawdziwemu myśliwemu i hodowcy fakt ubicia w jego kniei, jakiegoś kapitalnego zwierza przez sympatycznego gościa.

Hodować zwierzynę, aby ją potem samemu wyłącznie wybijać, jest po prostu monstrualnością, której zrozumieć nigdy nie mogłem. Jestto uczucie wrodzone każdemu hodowcy, że swoje wychowanki ochrania i kocha i niechętnie tylko strzela do rogacza, którego zna od sarnięcia, lub do kuropatwy, która w zimie prawie z ręki karmiona. Od tego są znajomi i sąsiedzi, a nie sam właściciel rewiru. To przywiązanie do zwierzyny bywa u nas czasem przesadne a stąd częste kwasy sąsiedzkie.

Weźmy naprzykład, następujący zbieg okoliczności. Sąsiad X. myśliwy hodowca, ma piękną knieję, karmi i pielęgnuje zwierzynę strzeże jej jak oka w głowie, poluje tylko raz w zimie z sąsiadami i znajomymi, którzy jak na prawdziwą biesiadę, spieszą na jego wezwanie. O miedzę mieszka sąsiad Y., także myśliwy i hodowca, karmi w zimie zwierzynę, nie strzela jednak w zimie rogaczy, tylko w lecie na podjeździe, wraz z łaska wymi na niego znajomymi. Szczęście czy nieszczęście Chce że sąsiad Y. ma duże łąki z naturalnemi remizami, ulubioną ostoją sarn w lecie. Otóż w tych łąkach oprócz miejscowych sarn przebywa w lecie także i dużo są-

siedzkich, tam załatwiają swoje matrymonialne i rodzinne sprawy. Rezultat z tego taki, że w lecie pustoszeje knieja sąsiada X., a zaludnia, a raczej zasarnia się rewir sąsiada Y. W zimie dzieje się zaś odwrotnie. Otóż między pp. X. i Y. ciągłe kwasy. Sąsiad X. utrzymuje, że mu p. Y. strzela jego rogacze w lecie. W zimie odwrotnie p. Y. obwinia o to samo X. Kto ich dojdzie i pogodzi, bo obydwaj mają racyę, a raczej obydwaj jej nie mają. Bo jeden kozioł rodzi się u p. Y; w zimie pasie się na rzepaku p. X., tam mu na polowaniu z pogardą palą w łeb, a jeżeli ocaleje, to na ruję wraca do p. Y. i tam spotyka go kula p. Z., lub jego gościa. Drugi kozioł robi kubek w kubek to samo, tylko w odwrotnym kierunku. Więc jak tu rozwiązać, taki gordyjski węzeł, gdzie każdy strzał padły z tej lub tamtej strony miedzy, pogarsza tylko i rozdrażnia sytuacyę.

Rozwiązać taki przykry stosunek może tylko wzajemne chłodne zastanowienie się interesowanych nad sytuacyą, o które przy naszej krewkości, niestety bardzo trudno.

Drugi przykład — p. X. ma rewir bogaty w sarny. P. Y. nie ma lasu, ale za to ma wspaniały łan rzepaku pod lasem p. X. W zimie na rzepaku p. Y. roi się od sarn, które wychodzą z lasu p. X. Otóż p. Y. sam czy też przez swoich gości zabija na swoich polach parę rogaczy. P. X. podnosi larum. P. Y. okrzyczanym zostaje za kłusownika, rwą się sąsiedzkie stosunki, z drobnostki robi się pasztet, z którego wybrnąć niepodobna. Pytanie kto ma racyę? twierdzę stanowczo w tym wypadku, że p. Y., jeżeli nie przekroczył granic przyzwoitości, granic etyki łowieckiej i sąsiedzkiej. Bo o ile p. Y. byłby karygodnym, gdyby sam lub przez swoją służbę starał się ubić na swojem terytoryum każdą sztukę wyszłą z lasu p. X, o tyle ubicie kilku rogaczy dla przyjemności swojej, lub swoich gości jest postępkiem zupełnie zgodnym z wszelkiemi zasadami prawidłowego i uczciwego myślistwa. Byłoby nie po sąsiedzku i nie po myśliwsku, gdyby p. Y. umyślnie znęcał cudzą zwierzynę, w celu jej ubicia, czynił na nią ustawiczne zasadzki i ciągle ją prześladował, lecz ubicie, na swojem terytoryum, kilku rogaczy do roku, rogaczy pochodzących choćby z sąsiedzkiej kniei w żadnym razie kłusownictwem nie jest i tylko ktoś bardzo stronniczy i bardzo nie wyrozumiały, drugiemu z takich powodów robić może wyrzuty.

Zaogniają się czasem takie zatargi niepomiernie. Wojna już idzie wtedy na udry, strzela się z jednej strony miedzy i ż drugiej, co się nawinie, a rezultatem opustoszenie obydwu rewirów, na którem cierpi zwierzostan całej okolicy.

Taka wojna na udry może mieć miejsce tylko między niemyśliwymi, bo gdy w piersi choćby jednego z przeciwników, tkwi choćby iskierka prawdziwej pasyi łowieckiej, to nie będzie odpłacał złemu sąsiadowi równą monetą, lecz tembardziej ochraniać będzie prześladowaną zwierzynę, czem postępowanie przeciwnika najdosadniej napiętnuje. Jestto nie po sąsiedzku i nie po myśliwsku mścić się na biednej sąsiedzkiej zwierzynie za osobiste urazy, jak też w wysokim stopniu nie po myśliwsku, gdy się w dzierżawionym przez siebie rewirze wybija o ile możności zwierzynę w ostatnim roku dzierżawy. Taka tabula rasa pozostawiona w rewirze, jest smutnym pomnikiem postawionym samemu sobie, jest najdokładniejszą oceną wartości myśliwskiej dotyczącego. Zeszedłem mimowoli na nasze stosunki i zanim powrócę do Niemców, popędzę dalej jeszcze tym tropem.

Bywa u nas w każdej prawie okolicy ktoś obdarzony dostatecznie w doczesne dobra, a mający przytem sporą dozę szlachetnej łowieckiej pasyi.

Taki pan, zresztą pod każdym względem porządny człowiek, ma jedną słabość, jedną manię. A to, zdaje mu się, że posiada monopol na całą zwierzynę w 10-cio milowym promieniu.

Niech dzik, rogacz, zając, czy kuropatwa padnie gdzie chce, to pewnie pochodzi ona z kniei, pola, czy remizy takiego pana. Desperacya mieć takiego sąsiada, z każdym strzałem psują się stosunki, a wreszcie ustają zupełnie i taki pan zostaje w swojej okolicy samotny jak palec, jeden, jedyny hodowca, jeden jedyny porządny „myśliwy“, między samymi „kłusownikami“ — (n. b. zdaniem tylko tego jegomości).

Jakżeżby inaczej było, gdyby taki pan nie miał tej nieszczęśliwej manii, o ile zyskałby powiat i łowieckie stosunki jego okolicy, gdyby zechciał zrozumieć, że zwierzyna jest nietylko jego wyłączną własnością, że polowania są przedewszystkiem dla sąsiadów, że są sposobnością do zgromadzenia się ludzi zamieszknjących jedną okolicę, do wymiany zdań, do podtrzymania ducha łączności sąsiedzkiej i obywatelskiej, gdyby zechciał zrozumieć, że jego knieja i myśliwstwo powinno być szkołą i przykładem dla drugich — powinno być ogniskiem, z któregoby się rozchodziły promienie prawdziwego zamiłowania do łowiectwa. Jakżeby inaczej było u nas w kniejach i w powiatach, gdyby ci, co mogą, zechcieli spełniać tę swoją obywatelską misyę. Lecz u nas dzieje się wprost przeciwnie, zupełnie jak w owym domu postawionym kominami na ziemi, a podwalinami w powietrzu. W powiatach rzadko gdzie spotkać można łączność i harmonię, myśliwy z pod Beskidów ma najbliższe polowanie gdzieś na granicy Szląska, łowiec z pod Krakowa jedzie na polowanie za Kołomyję i t. p. Naturalnie, że wobec tego niknie wspólność interesów, a cierpi na tem zwierzyna danej okolicy i pustoszeją knieje. Tylko wspólnemi siłami podnieść można zwierzostan danej okolicy, tylko przykładem działać można, niech o tem pamiętają ci, co w sąsiadach widzą tylko kłusowników.

Jest u nas jeszcze jeden ciekawy rodzaj amfitryonów łowieckich. Są to ci co posiadają piękne rewiry i zasobne domy, popsuci są przez całe zgraje pieczeniarzy potakujących zawsze tam, gdzie dzwięczy pełny worek i gdzie dobrze się kurzy z komina. Dla dobrego polowania nie jeden robi małe podłości, że je tak nazwę i w końcu zdaje się czasem właścicielowi dobrego polowania, że robi nadzwyczajną łaskę prosząc kogoś do siebie.

Zaproszenie na polowanie choćby najlepsze, to tylko zwykła sąsiedzka uprzejmość. Przybycie na polowanie to także taka sama uprzejmość; nikt nikomu nic nie winien i o łasce mowy nie ma. Jeżeliś był u kogo na polowaniu, to obowiązkiem twoim wywzajemnić się za zaproszenie, tembardziej, że „Grüssen ist eine Gefälligkeit, erwiedern ist eine Pflicht“ chyba, że sam nie masz czapki — chciałem powiedzieć własnego łowieckiego rewiru. Jeżeliś u kogo strzelał chruściele i przepiórki, a wywzajemnisz mu się jeleniem lub dzikiem,

to nie poczytuj tego za osobliwą łaskę, wyświadczoną właścicielowi chruścieli i przepiórek, bo u nas w Polsce przecież brzmi głośne przysłowie: „Czem chata bogata, tem rada“, nie zaprawiaj więc tego przysłowia niemieckim sosem. Jeżeli jesteś gościem na polowaniu, to zastosuj się we wszystkiem do zwyczajów miejscowych i zarządzeń gospodarza, nie rób uwag co do sposobu prowadzenia polowania, zostaw je dla siebie i nie przeszkadzaj swoją osobą, programowemu przebiegowi łowów. Jeżeli masz szczęście być gospodarzem, (czem o wiele milej być, niż gościem), bądź ostatnim i nie pamiętaj o sobie, a pamiętaj przeciwnie, ażeby tak postępować, by w nikim z zaproszonych nie wywołać uczucia niesmaku, lub upośledzenia. Polować można tylko inter pares, a jeżeli się spostrzeżesz, że gdziekolwiek nie rządzą się tą zasadą, to lepiej zrobisz, gdy zostaniesz w domu.

Oprócz wzajemnych obowiązków między myśliwymi nie zapominajmy też i o obowiązkach względem zwierza. Polując trzeba się rządzić pewną uczciwością, pewną galanteryą, jaka się nawet i zwierzynie należy. Ażeby módz strzelać, trzeba pierwej wychować sobie zwierzostan, dbać o jego rozwój i dobrobyt, a każdego roku ubić tylko tyle, na ile przyrost pozwala. Dzisiejsze wielkie rozkłady zajęcze i bażancie zatraciły zupełnie charakter łowiecki. Jestto poprostu wielka hodowla zwierzyny, a polowania na nią rodzajem sportu rekordowego, a nie szlachetnem łowieckiem igrzyskiem. Wolę jednego ostrożnego rogacza na podchodnem, jak kopę półswojskich bażantów, wypuszczonych w miocie z kojca, lub tyleż zajęcy, wychowanych w zajęczarni. Zdrożnego pewnie w tem nic nie ma i są ludzie, którzy to lubią, ale powtarzam raz jeszcze, to sport rekordowy a nie polowanie.

Strzelając do zwierzyny trzeba się starać ubijać tylko sztuki wyrośnięte i w sposób jak najszybszy, najmniej dla zwierzyny bolesny. Strzelanie małych zajęcy, szpiczaków, nie wyfarbowanych kuropatw to rzeź niewiniątek a nie polowanie, strzelanie śrótem na niepewne na dalekie odległości, to barbarzyństwo przyprawiające bardzo znaczną ilość, rzekomo spudłowanej zwierzyny, o śmierć powolną, wśród długich i strasznych męczarni — kto zwierzynę kocha, kto ma się za prawdziwego myśliwego, ten sobie na takie strzały nie pozwoli, bo taki myśliwy nie robi rekordów i nie chodzi mu o jednego zająca mniej lub więcej na rozkładzie.

A jednak co do strzałów jak zachowują się łowcy „Państwa bojaźni bożej i dobrych obyczajów“? Istnieją tam całe uniwersytety dla tresury wszelkiego rodzaju psów łowieckich. Otóż dla tresury tropowców (Schweisshund) odnajdujących postrzelonego zwierza, potrzeba koniecznie tego postrzelonego zwierza. Nauczyciel więc przed lekcyą strzela do na wpół swojskiej łani lub jelenia, lecz strzela w miękkie, ażeby zwierz farbował, a jednak szedł długo i daleko. Zwierz tak strzelony idzie rzeczywiście berdzo daleko, a żyje czasem bardzo długo, bo nawet i do drugiego dnia, a cierpi przez ten czas niewypowiedziane męki. Czyż człowiek strzelający umyślnie w ten sposób do zwierza zasługuje na miano myśliwego, czyż godziwą jest rzeczą, wyzyskiwać męki biednego zwierzęcia, męki spowodowane umyślnie dla zaspokojenia swojej chciwości przez korzystną sprzedaż dobrze ułożonego psa. Już dosyć przykrości, gdy się przypadkiem postrzeli zwierza, a takie rozmyślne kaleczenie, choćby było bronione niewiem jakimi sofizmatami pozostanie zawsze tylko kwiatem niemieckiej „Roheit“. Lecz nie tylko do nauki psów, potrzebuje niemiecki świat łowiecki takich sztucznie spreparowanych postrzałków. Niemcy to łowiecki naród, więc co chwila odbywają się po różnych zakątkach weltimperyum rozmaite wystawy łowieckie, rozmaite konkursa i premiowania psów. Pies zdaje naturalnie egzamin, a do egzaminu potrzeba postrzałków. Im więcej psów, tem więcej postrzałków. Można sobie wyobrazić, wiele w ten sposób rocznie ginie zwierza, w ohydny sposób skrzywdzonego dla zysku i popisu.

Chwała Bogu, że na tym punkcie stoimy daleko za Niemcami i miejmy nadzieję, że ich nigdy nie doścignieny. Bierzmy bez fałszywego szowinizmu i wstydu co dobre od nich, a strzeżmy się ich wad, bo swoich mamy podostatkiem. Nie traktujmy łowiectwa jako sport i pole do popisu i rekordu, lecz uważajmy je jako szlachetną umiejętność, jako piękną sztukę. Pielęgnujmyż tę sztukę, strzeżmyż jej prawideł i pełnijmy sumiennie nasze obowiązki, tak względem siebie, jako też i zwierza a wtedy powionie inny prąd po naszych kniejach, a nasze łowieckie szeregi złączą zię ściślej do wspólnej pracy, ku ogólnemu dobru.

Zwierzostan pewnej okolicy i zwierzostan własnej kniei jest wynikiem nietylko elementarnych warunków, nietylko osobistych starań, ale zależnym jest w przeważnej swojej części od łowieckiej wartości myśliwych danej okolicy. Żadne pojedyncze usiłowania nie dadzą rezultatu, jeżeli się nie ma dobrych pod względem łowieckim sąsiadów. W interesie więc własnej kniei jest zadaniem jej posiadacza, wpływać w łowieckim kierunku na swoich sąsiadów, utrzymywać z nimi kontakt myśliwski i zainteresować ich w ogólnem podniesieniu zwierzostanu. Gdy jeden i drugi sąsiad wie, że z twoimi rogaczami pasącymi się na jego rzepaku, zobaczy się u ciebie na polowaniu, to dla samej przyzwoitości nie będzie tych rogaczy na swoich polach dziesiątkował.

Ale gdy te rogacze wypasione na sąsiednich oziminach strzelają u ciebie na polowaniu, nie ci, którym się to należy, ale wyłącznie obcy, goście, przybysze gdzieś z pod Kalkuty lub Pekinu, to nie dziw się, że niknie wspólny sąsiedzki i łowiecki interes i chyba musiałbyś mieć samych altruistów za sąsiadów, gdyby się platonicznie przypatrywali rogaczowi, przeznaczonemu już od urodzenia dla gościa z pod Pekinu.

Alekxander Przedrzymirski.



W sprawie szkód wyrządzanych przez sarny w kulturach sosnowych.

Szkody wyrządzane przez sarny w kulturach sosnowych stały się w całym nieomal kraju, tak wielkiemi, że wielu zresztą zapobiegliwych i fachowo wykształconych leśników w obec tej plagi nie umie sobie dać

rady, ręce opuszcza i widzi jedyny ratunek w wybiciu kompletnem prawie, rodu sarniego. Do namiestnictwa wpływa też co raz to więcej podań o pozwolenie wybicia ilości kóz. Środek ten jednak jest niewystarczający, bo kilka pozostałych sztuk jest w stanie wyrządzić dotkliwe spustoszenia, jeżeli raz się już przyzwyczaiły do obgryzania pędów. Mówię przyzwyczaiły, bo są okolice, kraje i czasy, w których sarny w sosnowych kulturach szkód prawie nie czynią. Znam zaś przeciwnie, lasy sosnowe, w których stan sarn jest bardzo mały, a jednak potrafią one wyrządzić szkody, które do rozpaczy doprowadzają leśnika, patrzącego bezsilnie na zmarnowaną swą pracę, wykonaną nieraz z wielkim trudem i kosztem.

W obec takiego stanu rzeczy, poczuwam się do obowiązku, doniesienia kołom interesowanym, co następuje:

Szkody, wyrządzane w kulturach sosnowych przez sarny dochodziły w lasach ojca mego, położonych w powiecie jarosławskim do takich rozmiarów, że pomimo corocznych poprawek, stało się niemożliwem, wyprowadzić kulturę do wieku, w którym sarna już wierzchniego pędu nie dosięgnie. Temu trzy lata, po różnych niefortunnych, próbach najrozmaitszych, zarządziłem próby smarowania mazią zwaną „Kombinirtes Patent Raupenleim gegen Wildverbiss“ — do nabycia u J. Hitz, Prag Puchmachergasse 9.“ w cenie 17 koron za 100 kg.

Odważyłem się od razu na próby na większych powierzchniach, gdyż zaufanie do osoby, która mi ten środek poleciła, dawało wszelką nadzieję, że rezultat będzie osiągnięty. Próba wypadła tak świetnie, że przez następne dwa lata t. j. 1900 na 1901 i 1901 na 1902 poleciłem starannie smarować wszystkie kultury sosnowe w wieku do lat czterech. Z początku walczyć trzeba było z pewnem niedowierzaniem i nieufnością do tego środka; po pierwszym jednak już roku, cała straż leśna przyznała, że środek jest znakomity i nie szkodliwy dla rozwoju sosienki.

Po trzechletniem doświadczeniu, na podstawie przekonania się osobistego, bardzo szczegółowego, stwierdzam fakt, że nie znalazłem ani jednego pędu sosnowego posmarowanego, ogryzionego przez sarny.

Aby uchronić kulturę sosnową od sarn, wystarcza coroczne jednorazowe smarowania w jesieni. Najpraktyczniejszem okazało się dać każdemu robotnikowi dwie szczoteczki (jak do czernidła na buty), które tenże macza w lekko zagrzanej mazi, bierze między te szczotki pęd u nasady i przeciąga je aż do końca pędu. Trzeba dopilnować robotnika, aby warstwa mazi zostająca na drzewku, nie była zbyt grubą, tak aby szpilki nie były zalepione, lecz tylko pomalowane mazią. W ten sposób smarowanie jest skuteczne, a zupełnie nie szkodliwe dla rozwoju rośliny. Nie zauważyłem żadnej roślinki, któraby się wskutek smarowania gorzej miała rozwijać, niż inne nie smarowane.

Koszt smarowania kultury wynosi w tutejszych lasach (maź wraz z robotą) przeciętnie K. 3.50 od morga. Dawniej poprawki kosztowały corocznie przeciętnie przynajmniej tę samą kwotę, a rezultatu z tego nie było prawie żadnego, gdyż każda sosienka nowo zasadzona, była znowu przygryziona. W dwu, trzy lub cztero-letnim zrębie, oprócz tego staje się dla roślinki rocznej lub 2-letniej zasadzonej jako poprawka, walka z trawami tak ciężką i wymagającą znów bardzo kosztownej opieki, że, smarowanie okazuje się także najtańszym sposobem. Przedewszystkiem jednak korzyść leży w tem, że (abstrahując oczywiście od innych klęsk i szkodników), kultura będzie równa, pełna i że z kultury będzie las przyszłość rokujący.

Pełkinie w lipcu 1902.

Witold Czartoryski.



Sztuczne nory
do wprawiania jamników.

Wobec coraz większego rozprzestrzeniania się u nas jamników, w miarę jak niszczenie drapieżników większe przybiera rozmiary, sądzimy, że będzie na miejscu podać parę uwag o zaprawianiu psów tych z pomocą sztucznych nor.

Normalnie zbudowana sztuczna nora składa się z czworobocznych kanałów 18½ cm. szerokich, a 23½ cm. wysokich. Deski stanowią ściany boczne i pokrywy tych kanałów. Ostatnie są w ten sposób ułożone w ziemi, że kierunek ich to się wznosi, to spada.

Nora posiada kanał wchodowy i dwie mniejsze, a jedną większą komorę; poza większą, oddaloną od wejścia około 2½ m. znajduje się zasuwa.

Nora, składająca się właściwie z jednego kanału, rozdziela się przy końcu na dwie mniejsze nory, z których jedna kończy się jako kanał ślepy, a druga kończy się komorą.

Tak wygląda nora, używana do doświadczeń. Do wprawiania atoli młodych psów nie potrzeba tak wielkiej nory. Do tego celu wystarczą 2 lub 3 metrowe jamy z komorą, a przy tej ostatniej nora jednometrowa. Prowadząca do jamy nora ma przerwę i spada nieco ku niej, nora natomiast prowadząca od jamy — ma małe wzniesienie. Jamę należy zaopatrzyć dwoma zasuwami. Przy wychowaniu młodych psów, chodzi głównie o to, aby dostawszy lisa, czy borsuka umiały go osadzić. Przy zaprawianiu psa, odsuwa się zasuwę komory ku norze, prowadzącej ku wyjściu, i pozwala psu pewien czas oszczekiwać drapieżnika, przyczem uważa się, by nie przerywał szczekania, co jest błędem. Jeżeli z zadania dobrze się wywiązał, należy przystawić do wyjścia nory skrzynię z lisem, poczem odsuwa się drugą zasuwę przy jamie.

Młody pies powinien się nauczyć, jak ma lisa po małem wzniesieniu zapędzić do nory. Właściciel psa oszczędzi sobie tym sposobem trudu, wyciągania lisa obcęgami. Instrumentu tego używa się przy wyćwiczeniu psów nadzwyczaj rzadko.

Klatka dla drapieżników ma z przodu otwór, zamykany przez zasuwę, a do góry otwiera się przez podniesienie wieka. Chcąc lisa wydostać, umieszcza się

skrzynkę przed klatką, odsuwa się do góry zasuwę tak u skrzynki, jak też u klatki, wieko klatki unosi się trochę do góry i wpędza lisa uderzeniem pręcika do skrzynki.

Tu należy nadmienić, że otwory w klatce i skrzynce mają ten sam poprzeczny przekrój, co nora. Jeżeli młody pies w takiej małej norze, bez błędu przećwiczył się kilka razy, może z honorem stawać do popisu, tudzież będzie oddawał usługi, użyty w norze rzeczywistej.

Na pytanie, w jakim wieku należy psa przyuczać, odpowiadamy, że to zależy od indywidualności psa. I tak, nie zwracał znany nam jamnik — popisowy jeszcze we wieku 5/4 roku najmniejszej uwagi na lisa, jakkolwiek wsadzano go kilka razy do klatki z lisami; także wzbraniał się stanowczo wsunąć do nory. Nagle zbudziła się w nim pasya a następnie był najlepszym jamnikiem. Tresujący musi posiadać sporą dozę cierpliwości i to w każdym kierunku; porywczością nic z jamnikiem nie zdziałasz. Jest jeszcze najlepiej, gdy młody pies przypatruje się zadaniom wykonywanym przez starszego psa. Wychowanka należy wtedy położyć na ziemi i przytrzymać; to obudzi jego zamiłowanie. Rozumie się, że najlepszym przedmiotem dla młodych psów, są młode lisy. Jeżeli ich nie ma, zastąpi je stary lis; wówczas jednak należy wsunąć między psa i lisa drucianą kratę. Inaczej rzuci się pies na starego drapieżcę i otrzyma takie cięgi, że na długo, a czasem na zawsze, odejdzie mu ochota spojrzeć na jakąkolwiek norę. Dobrze jest, gdy się przy zaprawianiu młodych jamników — ułatwia im sposobność duszenia. Wtedy widzi jamnik, że jego ciętość i wytrwałość jest nagrodzoną, i cała sprawa ma tło „moralne“. Bardzo niemiłe są wychowanki, które matka-natura obdarzyła taką trwożliwością, że młodego lisa lękają się, jak dyabła. Takim trwożliwym jamnikom należy wlać przekonanie, że one właśnie są na to, by niektóre stworzenia zwyciężać. Jako próbne przedmioty służą tu króliki, po których znowu idą szczury. Gdy młode psy w towarzystwie starych jamników udusiły kilkakrotnie szczura, wzrasta niezmiernie ich zaufanie we własne zdolności. Wiek dziewięciomiesięczny uważać należy za granicę, od którego należy naukę zaczynać, jeżeli jednak chodzi o duszenie szczurów, może je jamnik rozpocząć dusić po 6 miesiącach życia. Tu wyraźnie trzeba zauważyć, że młody pies może być użyty w sztucznej norze tylko dopóty, dopóki nie stanie się już pewnym psem. Dłuższe używanie jest stanowczo szkodliwe, a okazuje się to przy częstszem używaniu psa przy popisach, przy których przetrenowane psy zawodzą, przynosząc właścicielom rozczarowanie.

Jamnik, który pojął swą misyę, powinien co najwyżej być używany do osadzania przez naszczekiwanie, gdyż terenem jego jest nora naturalna, w której ma praktycznie zastosować nabytą naukę, aby stać się niszczycielem drapieżników ku korzyści pożytecznej zwierzyny.

Przystępujemy do opisu wpuszczania psa do sztucznej nory i do zasad, które przy niem należy zachować.

Skoro los wyznaczył następstwo zgłoszonych psów, zaczyna się badanie wszystkich psów co do zdolności osadzania zwierza. W tym celu musi być drapieżnik przynajmniej na dwie godziny przedtem przepuszczony przez norę, aby w niej wiatr po nim pozostał. Badanie co do zdolności osadzania wymaga, aby pies przeszukał próżną norę, nie wydawszy nigdzie głosu.

Powtarzamy wyraźnie głosu, gdyż są psy zbyt gorliwe, które przy włażeniu do jamy wyją. Nie jest to wprawdzie błąd, lecz nawyczka zła, która polega na zbyt częstem użyciu psa w norze sztucznej i która może się w błąd wyrodzić. Jamnika, znanego nam, posiadającego sławę przed dziesięciu laty, zaprawiano za często na lisa w sztucznej norze, to też nie mógł się przezwyciężyć, by w sztucznej, wiatrem nie przesiąkłej norze nie zawyć kilkakrotnie. Aby tego uniknąć, nie wypuszczano go tuż przed wejściem do nory, lecz na norze, tak że musiał szukać wejścia do nory. Środek ten posłużył, a przeszukiwanie nory odbywało się z całym spokojem. Są rutynowane jamniki, którym wystarczy wetknąć nos w norę, by odczuły, czy jest wiatrem przesiąkła; jeżeli tak nie jest, odmawiają wprost szukania.

Rozumie się, że ten szczegół wystarcza przy badaniu uzdolnienia psa. Błąd wczesnego naszczekiwania — może powstać także z innej przyczyny. Wielu posiadaczy psiarni utrzymuje je z powodu braku miejsca tuż przy sztucznej norze. Sprawia im to wielkie zadowolenie, gdy psy uganiają się po norze i gdy ujadaniu nie ma końca.

Nikt jednak nie myśli o tem, że to właśnie jest przyczyną późniejszego, niepotrzebnego naszczekiwania.

Dlatego należy zawsze trzymać norę zamkniętą i nie pozwalać psom uganiać się po niej.

Teraz przychodzi popis w norze zaprawionej wiatrem; drapieżnika (lisa lub borsuka) przynosi się w skrzynce i puszcza do nory, skoro zasuwa została w norę zasunięta. Jeżeli wspominamy o zasuwie, zadajemy sobie pytanie, czy nie byłoby więcej odpowiedniem celowi, gdyby ona o dwa metry w głąb posuniętą została — gdyż zdaniem naszem jest za blisko wejścia. Jakkolwiek zasadą jest, że do badań używa się świeżo wykopanej zwierzyny, to jednak nie można tego wszędzie przeprowadzić, ze względu na to, że próby odbywają się zbyt liczne. Jeżeli tedy brak świeżo odkopanego drapieżnika, należy użyć drapieżnika już przedtem w norze używanego. Gdy świeżo wykopany drapieżnik zapędza się tak daleko w głąb nory, jak to tylko możliwe, to jest aż po zasuwę, umieszcza się już doświadczonego lisa w sztucznej jamie blisko wejścia, albo tuż przy niem.

Stare jamniki zmuszą go do cofnięcia się, młode jednak nie dokażą tego.

Otóż mając na oku interes tych ostatnich, należałoby wykonać wyrażoną wyżej zmianę co do zasuwy. Jeżeli zasuwa jest dalej w głąb posunięta, jamnik ma więcej miejsca i może lepiej rozwinąć swą ofensywę, podczas, gdy w przeciwnym wypadku odbywa się bezcelowe atakowanie przed norą. Jamnik powinien nieprzerwanie dziesięć minut oszczekiwać drapieżnika. Gdy zadanie to spełnił umiejętnie, odsuwa się zasuwę i teraz rozpoczyna się właściwa praca. Psy, które nie zdadzą tego wstępnego egzaminu — wyłączają się — tz. psy, które bądź wcale nie chcą wleść do nory, albo które przerywają szukanie i jamę opuszczają, po wej-

ściu w kontakt z atakowanem zwierzęciem. Postanowienie to odpowiada zupełnie celowi.

Przy dzisiejszych licznych zgłoszeniach jamników do popisów, traciłoby się niepotrzebnie czas, gdyby psy bez temperamentu były jak najdokładniej egzaminowane. Po odsunięciu zasuwy nastręczająca się praca, winna być oceniona wedle wymogów, których żądamy od pracy w norze naturalnej. Kardynalny punkt stanowi zagryzienie drapieżnika. Jeżeli ocena pracy w norze sztucznej odbywa się na innych podstawach — w takim razie schodzi przeszukanie nory do prostej zabawki. Najdonioślejsze świadczenia przy przeszukiwaniu nory są:

1. Osadzenie zwierza i wytrwałe, energiczne warowanie, dopóki nie nastąpi wykopanie;
2. Wypędzenie z jamy lisa lub borsuka;
3. Uduszenie zwierza i wyciągnięcie zaduszonego.

Te trzy czynności zasługują na stopień „pierwszy“. Którą z dwóch pierwszych czynności należy więcej odszczególnić, to zależy od ustroju terenu. Klub operujący np. w północnych Niemczech, ma do czynienia z terenem równym, to też kładzie słusznie wagę na to, by uzyskać dobrze osadzające jamniki. Zgodnie z tem żądają tamże przy popisach, by pies godzinę wytrwał przy zwierzu. Dominuje tam zatem tego rodzaju praca. Inaczej ma się rzecz w górskim terenie, gdzie zwierz, przeznaczony na łup, kryje się w norach nie dających się odkopać. Tu osadzanie na nic się nie zda — tylko wysadzenie mistrza „mykity“ ma znaczenie. W tych okolicach przeznaczony jest krótszy czas do badania psa. Tu wymagają ciętego junaka, który tak dogryzie drapieżnikowi, że ten musi norę opuścić. Trzeci sposób jest bardzo dobry, gdyż upraszcza nadzwyczaj całe postępowanie. W sztucznych norach występuje ono częściej, niż w naturalnych, gdyż przeciągnięcie uduszonego zwierza przez gładkie, sztuczne nory nie napotyka na żadne przeszkody. Inaczej ma się rzecz w naturalnej norze, utworzonej ze spadających, to znów wznoszących się kanałów, w których korzenie itp. utrudniają przesunięcie zwierza.

Uduszenie zwierza i pozostawienie go w norze dyskwalifikuje psa. Od psa, który obrabia zwierza, musimy żądać, aby przy nim pozostał i nie opuścił nory. Gdy to zrobi — raz lub kilka razy — bywa wykluczonym od dalszego popisu. Rozumie się, że sprawę rozstrzygają sędziowie wedle uznania, i że przy badaniu młodych jamników są względniejsi, niż przy publicznych popisach i takich, za które są wyznaczone nagrody.

Co do kierowania psem w tych wypadkach — nadmieniamy, że prowadzący psa musi się wyrzec wszelkiego dopomagania; wyjątkowo można tej pomocy dozwolić przy młodych psach, a wtedy zachęta może być dana tylko przed wejściem do nory. Dzięki Bogu minęły bezpowrotnie czasy, kiedy właściciele psów tak długo tupali po norze — dopóki szanowny mykita nie nabrał gustu do odwrotu. Winę w tym wypadku ponosili myśliwi, nie psy, jakkolwiek psom ją przypisywano. Leży to już w charakterze jamnika, że samoistnie wykonuje pracę, toteż wśród świadczeń równej wartości, to z nich zasługuje na odszczególnienie, które wykonane zostało bez pomocy kierownika. Psy, nie angażowane do pracy, muszą być trzymane zdala od nory, by szczekaniem nie przeszkadzały psom badanym. Zresztą leży to w interesie psów samych, by nie były narażone na niepotrzebne wzruszenia, a tem samem, by jako całkiem świeże mogły być poddane popisowi.

W ten sposób została omówiona sprawa sztucznej nory dość wyczerpująco. Jaką rolę odgrywa ona w rewirze, o tem pomówimy później. Niech nam będzie wolno jednak, uczynić na zakończenie jedną uwagę. W norze sztucznej możemy ocenić ciętość, wytrwałość itd należycie, jednak nie dobry wiatr i przytomność umysłu, dwie własności, które przecież odgrywają w praktyce główną rolę. Chcąc tym przymiotom poświęcić większą uwagę, także przy norze sztucznej, powinniśmy, na próbę, przy przeszukiwaniu przez stare psy, przez rozpoczęciem badania, umieścić zwierza przy końcu nory, a kanał przed nią na jaki metr zupełnie zasypać.

Wtedy musi badany pies okazać, czy ma wiatr, a mianowicie tem, że dojdzie do zwierza. Myślę jednak, że niejeden z naszych bohaterskich jamników nie sprosta zadaniu. Wedle dzisiejszych wymagań, winien pies pozostać przy zwierzu, którego znajdzie przed zasuwą. Dla starych psów jest to zbyt łatwe zadanie.



Korespondencye.

We Lwowie, 3. sierpnia 1902.

Numer 15-ty „*Łowca*“ z 1. sierpnia br. zaskoczył mnie, w chwili powziętego już zamiaru napisania obecnej korespondencyi — uprzedziła mnie potrosze Szanowna Redakcya, zamieszczając artykuł p. Jana Głuskiego pod tytułem „Pomóżmy im“, przedrukowany z warszawskiego „*Łowca polskiego*“. Nie mam o to najmniejszego żalu, a przeciwnie wdzięczność czuć muszę, bo to, co p. Głuski do myśliwych i dla myśliwych w Królestwie polskiem napisał — ja, wyrzekając się zaszczytu wynalezienia czegoś nowego, dla Galicyi umiejscowić tylko potrzebuję. Dzięki zabiegom Wydziału Towarzystwa i bezinteresownej pracy redakcyi „*Łowca*“, możemy wszyscy skonstatować dziś niebywały dotąd rozwój gal. Towarzystwa łowieckiego, a z nim razem coraz większe rozpowszechnianie się, coraz wyższy dyapazon, szczerego ducha myśliwskiego, tej od wieków żyjącej zdrowej i szlachetnej idei łowieckiej. Widomym wyrazem tej idei, jej propagatorem u obojętnych jeszcze w tej chwili, krzewicielem i reprezentantem jest organ gal. Towarzystwa łowieckiego, jest wszystkim nam miły „*Łowiec*“; losy tego pisma, to losy łowiectwa w kraju, im bardziej przyjmuje się i wzrasta kultura łowiecka, tem potężniej, co do treści, objętości i formy róść powinien nasz organ.

Wzrost taki i rozwój „*Łowca*“, nie da się pomyśleć i przeprowadzić usiłowaniami jednostek, na to trzeba współpracownictwa i chętnej pracy wszystkich myśliwych. Pisze p. Głuski: „na czele całego ruchu „w tej dziedzinie stoi kilka tylko jednostek, które na

„barkach swoich muszą dzwigać cały jej ciężar i odpo„wiedzialność i którym na chwilę nie wolno spocząć, bo „inaczej stanęłaby cała maszyna“. Tak w Królestwie, a u nas taksamo, śledząc za przyczynami mogę śmiało poprosić cierpliwych czytelników, by raczyli uważnie przeczytać artykuł p. Głuskiego i wypowiedziane tam zarzuty, zmieniwszy adres do nas samych zechcieli zastosować. Redaktor poważnego fachowego czasopisma musi być wolnym od kłopotu, czem najbliższy numer zapełnić — jego zadaniem może być tylko układanie, dobór lub przerabianie gotowego, dostarczanego materyału, a wtedy możebnem jest wprowadzić do dziennika stały jakiś podział, możebnem — artykuły według ich treści grupować, a wreszcie w interesie pisma w prowadzić jakąś selekcyę i dobór nadsyłanego materyału. Trzeba jednak abyśmy się pozbyli, jak mówi p. Głuski tej wrodzonej obawy, przed przeniesieniem na papier tego, cośmy doskonale potrafili przeżyć i zauważyć, a jeszcze lepiej w kółku dobrych znajomych, po polowaniu, lub przy obiedzie opowiedzieć.

Proszę wziąć do ręki, którekolwiek czasopismo myśliwskie niemieckie.

Na wstępie conajmniej dwa lub trzy obszerne artykuły rozłożone często ze względu na ich rozmiary na kilka numerów. Mieszczą się w nich opisy dalekich wypraw myśliwskich, studya nad chorobą różnych rodzajów zwierzyny, fachowe artykuły dotyczące aklimatyzacyi różnych zwierząt i ptaków łownych, rozprawy o formacyi rogów, o szkodach przez zwierzynę dla kultur leśnych wyrządzone, o urządzaniu lasów, remiz dla polowania, o tępieniu szkodników i t. p.

Po artykułach większych rozmiarów, następują liczne korespondencye — a więc najrozmaitsze ciekawe zdarzenia myśliwskie, obserwacye nad życiem i zwyczajami zwierzyny, telegramy o ukazaniu się pierwszych słonek i t. d.

W osobnym dziale ugrupowane wiadomości, dotyczące broni i amunicyi i fachowe artykuły na ten temat, a więc doniesienia o wszelkich nowościach i wynalazkach, jak niemniej obserwacye poszczególnych myśliwych. Osobno znowu sprawozdania o rezultatach całorocznych polowań różnych rewirów lub sprawozdania z poszczególnych polowań.

Osobny dział zajmują sprawozdania z rozpraw sądowych, doniesienia o zasądzeniu kłusowników, o wyrokach sądowych rozstrzygających wątpliwe według ustawy wypadki.

Osobny wreszcie dział wypełnia hodowla i tresura psów i sprawozdania z wystaw i konkurencyi, a kończy numer dodatek powieściowy i nadzwyczaj bogaty dział inseratowy, z którego może się każdy myśliwy ubrać od stóp do głowy, zaopatrzyć w broń, amunicyę i psy wszystkich ras, a wreszcie wydzierżawić liczne tereny myśliwskie lub nabyć zwierzynę w celu zaludnienia własnego rewiru.

Jak widzimy numer bogaty treścią i mogący zadowolić apetyt, spragnionego wiadomości myśliwego. Mogę śmiało zdaje mi się twierdzić, że materyału do artykułów i korespondencyi i nam wcale nie brak — bogata księga przyrody dla wszystkich otwarta, trzeba w niej tylko obejrzeć i umieć czytać, a łatwo będzie spostrzedz, że mielibyśmy o naszej zwierzynie, o jej hodowli, o naszych polowaniach i lasach dzięki szczodrobliwości przyrody więcej do powiedzenia, niż nasi najserdeczniejsi, Niemcy.

Więc nie materyału dla „*Łowca*“ — nam brak piszących.

W czasopismach niemieckich uderzyć musi już na pierwszy rzut oka to, że conajmniej trzy czwarte artykułów, podsuwają różni „Oberförstery“ i Förstery“, a więc osoby należące do personalu łowieckiego. U nas prócz kilku łatwych do wymienienia osób, nie ma *Łowiec*, z niepowetowaną szkodą, współpracowników w tej sferze — a przecie to są z natury rzeczy ludzie najbardziej fachowi, mający poprostu przymusowo, bo w wykonywaniu swego zawodu sposobność obserwowania. Nie na gremialnych polowaniach z nagonką uczy się knieję i jej mieszkańców poznawać — nato trzeba codziennego i we wszystkich porach roku pobytu wśród lasu, a wtedy obserwacye ciekawe narzucają się same, a z nich mógłby róść i karmić się „*Łowiec*“ i zadowolić z czasem wszystkie wymagania. Z postępem wymagań coraz lepsze kwalifikacye mają u nas leśniczowie, wielu z nich już dziś umie pisać doskonałe co do treści i formy artykuły i sprawozdania — a tam gdzie umysł ociężały lub spracowana ręka piórem nie umie władać, wystarczy, jeżeli odnośny służbodawca z ustnej relacyi leśniczego prześle Redakcyi — choćby krótką notatkę. Trzeba tylko słuchając raportu leśniczego, czy gajowych o ich własne spostrzeżenia pytać, trzeba zachęcić do takich obserwacyi — słaba na razie zachęta w postaci skromnych honoryarów autorskich, przewidzianą jest w budżecie Towarzystwa. I w tym kierunku nieocenione usługi oddać może zainicyowana wnioskiem p hr. Mycielskiego organizacya powiatowa Delegatów Towarzystwa.

Kończąc muszę znowu oddać głos p. Głuskiemu i z nim razem zawołać: „Pomóżmy im“... a pomoc będzie bardzo wydatną, gdy choć setna część barwnych opowiadań, przy każdem zebraniu myśliwych tak chętnie słuchanych, na szpaltach „*Łowca*“ będzie powtórzona.

Dr. Władysław Sołowij.

Lwów, 30. lipca 1902.

Zasiadłem do napisania słów kilku do „*Łowca*“, lecz jestem w kłopocie bo korespondencyi „*Łowca*“ niewolno chwalić zagranicznych, a szczególniej niemieckich luf, zagranicznego prochu — a tu choć Polacy wiele porobili wynalazków nie słyszałem, aby który proch wynalazł — ani też nie wynaleźli luf ani nowego materyału na lufy — bo nawet sławny kowal, co zrobił strzelkę Sagalas London a Bałabanówka — nie wyrabiał luf własnych — nie słyszałem też, aby je gdziekolwiek u nas wyrabiano. Wyczytałem również w „*Łowcu*“, że pani W. nie życzy sobie, aby strzelano bociany i napisała ładną korespondencyę, uderzając w stronę serca — starych tradycyi — na to trudna rada, bo Niemcy mówią: „Wo das Herz zur Thür hereinkommt, bleibt dem Verstand nichts übrig, wie durchs Fenster herauszuspringen“ — proszę wziąć na uwagę: Bocian jest złośliwy — cieszy go niedola, ambaras płci pięknej — ileż to on razy przyniósł dzieciątko tam, gdzie sobie tego wcale nie życzono — a gdzie na samą myśl podobnej inwazyi — mrowie przechodziło po za skórę figlarnej dziewicy, a tam gdzie papa i mama chcieli mieć gwałtem potomstwo, to bociany robiły strejk i ża-

den niezawitał ladaco — to jadowity ród. Co do polowania, to bocian wyrządza nieobliczalną szkodę łowiectwu — widziałem bociany niosące zające, młode ptaki, a gdy raz zapytałem kośców, czy niebyło młodych kuropatw, chruścieli, przepiórek, to jeden odpowiedział było dużo, ale przyleciało 5 bocianów, chodziły koło nas i łykały młode ptaki, jak kluski, miały dobry bal dzisiaj. Wiem dalej z własnego doświadczenia, że tam gdzie były dwa lub trzy gniazda bocianie nie znachodziłem w jesieni ptaków — gdzie zaś były wystrzelane, było ich o wiele więcej, dlatego strzelam każdego bociana, który jest na strzał i radzę w dobrze zrozumiamianym interesie myśliwych czynić to samo. W ostatnim numerze *„Łowca“*, czytam znów, aby niestrzelać psów włóczących się samopas — jeżeli podobne korespondencye *„Łowiec“* umieszczać będzie, możeby zmienił napis *„Łowiec“* na *„Antiłowiec“* i byłby wtedy organem przeciwników łowiectwa — wszak psy włóczące się szczególnie w czasie lęgu, są wstanie wyniszczyć zwierzynę, kuropatwy i ptaki, jak to mówią do łapy — znam wypadek, gdzie legawy z kundlem dużym, silnym. wyniszczyły wcale ładny stan sarn, zginęły na kotnej kozie, którą zadusiły i chciały skonsumować. Znam drugi, gdzie dwa legawce wydusiły zające, kuropatwy, a było ich dosyć. Znam trzeci, gdzie kundysy chodzące z bydłem w pole wyjadły prawie wszystkie zające, polowały w ten sposób — jeden wyganiał zająca i gonił go jak mógł najszybciej — zając uciekając natrafiał na drugiego, który świeży gonił go dalej, a gdy zgoniony natrafił na trzeciego ten go złapał — temu posłałem, gdy na zaduszonym zającu oparł przednie łapy leżąc, nabój śrótu Nr. 4, bo tylko takie lekarstwo kuruje radykalnie psią chęć do polowania. Gdybym chciał opisywać, co widziałem i słyszałem o szkodach przez przy psy w zwierzostanie wyrządzonych, to musiałbym zapisać kilka numerów *„Łowca“*, więc nie będę was nudził, ale opiszę jeszcze tylko jedno zdarzenie. W tym roku na wiosnę w Hawłowicach mówi mnie polny, że dwa psy gonią zające i kuropatwy co rano, a około 10-tej wracają do domu, więc na drugi dzień wyjeżdżam z drylingiem — gdy dojeżdżam do robiących ludzi w barakach woła polny psy goniły od rana, ale teraz jeden wrócił do wsi a drugi idzie pastwiskiem — podchodzę poza wał, pies idzie ku wsi i jest około 200 kroków odemnie, zawabiłem na zająca, gdy usłyszał stanął — następnie w szalonym galopie przyszedł do mnie na 30 kroków — wykurowałem go raz na zawsze z tej myśliwskiej pasyi, a jego wspólnika zaraz na drugi dzień. Tu czułostkowość nie powinna mieć miejsca — a wadą naszą narodową jest, że się kierujemy więcej sercem niż rozumem — podług mnie, wilk, pies, lis i chłop, głównie się przyczynili do tego, że mając po temu wszelkie warunki nie mamy takiego zwierzostanu, jakby być powinien — a jaki w innych krajach będących w daleko gorszych warunkach obecnie się znajduje. *Teofil Żurowski.*

Zwracamy uwagę, że w przypiskach do obu korespondencyi wyraźnie zaznaczyliśmy, iż z treścią ich się nie zgadzamy. *Redakcya.*

Batiatycze, dnia 1. sierpnia 1902.

Smutno, choć słońce świeci, bo zamiast brzęku sierpów i kos na łanach i wygonach, słyszy się brzęk pałaszy i nabijanie karabinów, ale na zwierzynę bratnią — to podli agitatorowie, dla celów własnych, rozdmuchując namiętności, pędzą jak strzały, sami kryjąc się jak krety, bo słońce dzienne to śmierć dla nich, jak zwierzyna przejrzy, a Bóg da, że chwila ta niedaleka!

Trudno myśleć o łowiectwie, gdy myśl zwraca się w innym kierunku, co jutro będzie, ale i w tej bolesnej chwili, przepiórki przypominają się myśliwemu, ptactwa błotnego, na pokoszonych, mokrych łąkach stosunkowo jest dość. Kuropatwy ślicznie się zapowiadają na wrzesień, przez zimny wiosenny lęg spóźniony, są jeszcze bardzo małe. Zajęcy młodych dużo i marczaki dobrze wyrośnięte. Sarny byłyby ale na te nieszczęsne poluje każdy złodziej, bo mięsa więcej i skórka droższa a w obec małych, podejście łatwe, to też dużo drobiazgu, widzi się bez matek nędznych i zgłodniałych. Mając interes w Temerowcach koło Halicza, pojechałem do lasu. Są to wyrośnięte dwudziesto letnie zręby. Zdumienie moje było wielkie, kiedy spostrzegłem wspaniały okaz jelenia spokojnie stojącego w owsie. Spostrzegłszy wózek, powolniej wszedł do lasu, a ja mając tylko parasol, przesłałem mu tylko dobranoc! Mając obietnicę od p. marszałka Tadeusza Starzeńskiego, że na jesień zwołanym zostanie mały wiec myśliwski w Żółkwi, tą drogą zawiadamiam członków, by wzięli jak najliczniejszy udział, a dużo by się dało zrobić w naszym powiecie, gdzie wszystko odpowiada tak teren jak różnorodność zwierzyny, byśmy mieli doskonałe polowanie i podnieśli miłą dla każdego, a tembardziej myśliwego gałęź bogactwa krajowego. W tej nadziei kończę słowem: do widzenia w Żółkwi.

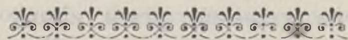
Tadeusz Romanowski.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po 1½ ct. od wyrazu).

SPRZEDAJĘ WYŻŁY. Sukę nakrapianą (popielata z brązowym) po Sekt-Waldwärter 3222 z Adony 3464 w drugiem polu, doskonale ułożoną za 200 k. Szczenięta białe w kasztanowate łaty psa i sukę ur. 4 czerwca po doskonałych psach, 60 k. sztuka. Hr. Sumiński — Uszew.

Na sprzedaż żółty wyżeł rasy „Setter“, jednoroczny silnie zbudowany z dobrym węchem i w polu mało używany za 50 koron. Bliższej wiadomości udzieli c. k. wachmistrz Schreiner, kasarnia huzarów Łyczaków Lwów.



PARA CHARTÓW KRYMSKICH rasowych 9-cio miesięcznych (pies czarny, suka biała) jest do sprzedania. Bliższe wiadomości: „Książę Stanisław Jabłonowski (junior), Bursztyn“.

Poszukuję jednego jamnika lub parki, z rasowych rodziców, jeżeli możliwe czarnych podżarych, dobrze odessanych. Zgłoszenia w Administracyi „Łowca“.

Strzelba lankastrowa, kal. 16, bardzo dobrze zachowana, roboty Peterlonga, do sprzedania za 60 zł. (kosztowała 120 zł.). Oglądać można w Administracyi w godzinach urzędowych.

DO SPRZEDANIA 3 parki jamników, parka srebrno popielatych, żółto podżarych 50 koron. Parka żółtych, parka kasztanowatych, żółto podżarych po 40 koron. — Zgłoszenia Gottwald, w Skale nad Zbruczem

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.